

Moja mama była ze stali

Wywiad z Imogene Salvą, autorką książki „One Star Away”

O okrucieństwach wyrządzanych dzieciom w czasie wojny, dziecięcym harcie ducha, odwadze i dobroduszości obcych ludzi w książce o mamie i dla mamy z autorką Imogene Salvą rozmawia Katarzyna Korza.

Katarzyna Korza: Czyją historię opowiada Pani w swojej książce „One Star Away”?

Imogene Salva: Książka jest historią życia mojej mamy, Józefiny (Josephine) Nowickiej, z czasów II wojny światowej i później. Moja mama była jedną z prawie dwóch milionów obywateli polskich deportowanych przez NKWD – sowiecką policję polityczną do obozów pracy przymusowej w Rosji. Historycy różnią się co do liczb, ale mówi się, że od 1,5 do 2 mln Polaków zostało wywiezionych w głąb Rosji. W moim odczuciu historia ta jest historią mniej znaną niż inne tragedie II wojny światowej.

Ile lat miała Pani mama, kiedy wywieziono ją – z całą rodziną, do Rosji?

– Była małą dziewczynką, miała tylko 8 lat. Razem ze swoimi rodzicami i rodzeństwem została deportowana daleko na północ Związku

reguł tego transportu. Pociąg zatrzymywał się raz dziennie, rozdzielano między ludzi wrzącą wodę i chleb o nieznośnej, gliniastej konsystencji. Należna porcja wynosiła 400 gram, czyli niewielki kawałek, niewystarczający, żeby przeżyć. Więc większość ludzi w transporcie umarła. Moje ciotce i wujkowie opowiadali mi, że w jednym wagonie było umieszczonych od 60 do 70 osób. Zanim dotarli do celu po około 20-25 dniach, połowa już nie żyła albo się zagubiła. Bardzo niebezpieczne było odchodzenie od pociągu w czasie postojów, nigdy nie było wiadomo, kiedy pociąg odjedzie. Mama wielokrotnie była świadkiem rozdzielania rodzin na zawsze. W książce opisana jest taka sytuacja – matka odchodzi od pociągu, bo chce zamienić swoją własność na jedzenie dla córki. Słyszy sygnał odjeżdżającego pociągu. I to jest koniec. Nie jest to zmyślona historia.

Co czekało na nich na miejscu?



Imogene Salva z matką, Józefiną Nowicką, w czasie odwiedzin w Jamnagar, Gudźarat, 2018 r.



Jam Saheb Digvijay Sinhji z polskimi dziećmi po przedstawieniu Kopciuszek

Radzieckiego, za Wołogdę. Zostali tam przymusowo wywiezieni pociągami, dokładnie - wagonami bydłowymi. Ze swoich domów zdołali zabrać wyłącznie podstawowe rzeczy, w pośpiechu, w środku nocy, kiedy radzieckie tajne służby stały nad nimi, a wcześniej waliły pięściami w ich drzwi. W taki sposób do niewoli wzięto nie tylko moją mamę i jej rodzinę, ale i tysiące innych rodzin.

Kiedy dokładnie się to zdarzyło?

– Miało to miejsce 10 lutego 1940 r. – była to pierwsza z czterech dużych fal deportacji. Jeśli można porównywać takie rzeczy – ta pierwsza była najgorsza, ponieważ miała miejsce w jedną z najzimniejszych nocy tamtych lat. A warunki, w których wieziono ich do niewoli były okrutne – ludzie nie mieli odpowiedniego ubrania na tak ciężką pogodę, żadnego jedzenia, nie było żadnych

– Na miejsce docierają po ponad trzech tygodniach, wyczerpani, osłabieni, niedożywieni. Mężczyźni i chłopcy zdolni do pracy zostają skierowani do katorżniczych robót w gułagu około 20 km dalej. Tak stało się z tatą mojej mamy, Konstantym i bratem, Tadeuszem.

Mama Teodora została z dziećmi.

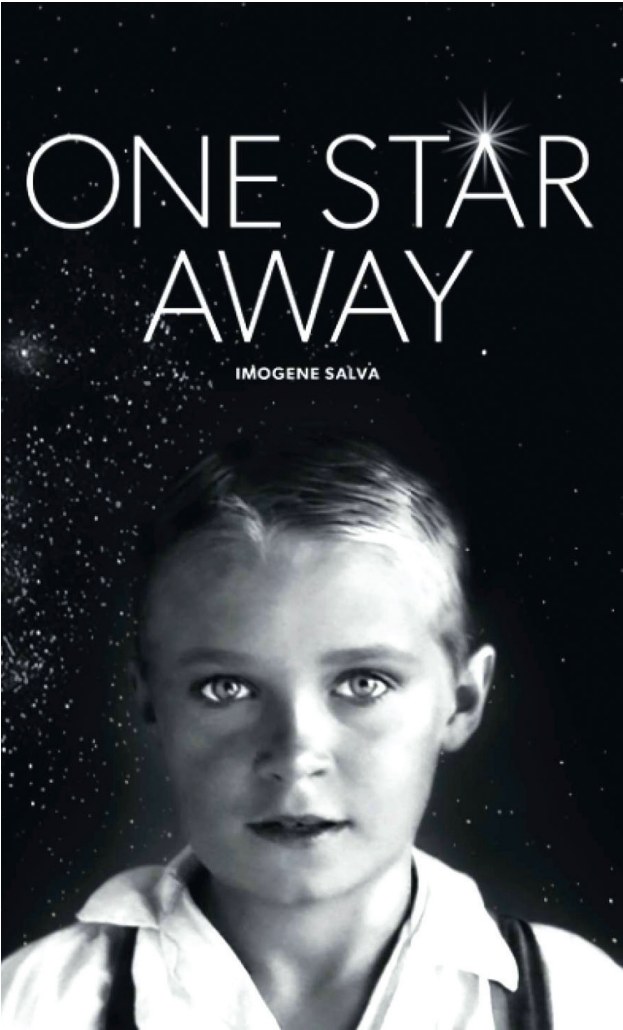
Jeden z sowietów, który przyszedł po rodzinę mojej mamy tamtej feralnej nocy, zadbał o to, żeby babcia wzięła ze sobą maszynę do szycia. Babcia, która była utalentowaną krawcową, naprawiała ubrania, czasem mundury, zszywała, szyła różne rzeczy z prześcieradeł. Kiedy drogi pozwałała, chodziła na pobliski targ i wymieniała rzeczy, które uszyła, na jedzenie: czasem chleb, czasem nasioną, czasem grzyby. Była zaradną gospodynią, więc ze wszystkiego potrafiła ugotować zupę. W wyżywieniu rodziny pomógł również Tadek, który kiedyś, w czasie przepustki, przyniósł

swojej rodzinie kożę – dzięki niej Hela – najmłodsze dziecko, miała świeże i odżywcze mleko.

Historia rodziny Pani mamy rozwija się w mało oczekiwany sposób. Po dwóch latach życia w ciężkich warunkach następuje zmiana polityczna, która zmienia również status rodziny mamy.

– Tak, następuje zmiana, ale rodzina mamy przez jakiś czas nic o tym nie wie. Wszystkie informacje, które oni mają, pochodzą od strażników obozowych, a im – wiadomo – nie zależy na tym, żeby ktokolwiek coś wiedział, bo nie chcą, żeby ktoś się stamtąd wydostał, mają wyznaczone cele ilościowe i chcą je realizować.

Pod koniec 1941 roku, nocą, do obozu, gdzie znajdowała się moja mama, przychodzi tata i Tadek, i informują, tym, że jest zmiana, że ich los ma szansę się odmienić.



Cała ta działalność była możliwa dzięki rządowi Sikorskiego na uchodźstwie.

Moja mama w Kubiszewie trafiła do szpitala, podobnie jak całe rodzeństwo i rodzice. Mężczyźni, którzy byli w miarę zdrowi, zostali skierowani do punktów poborowych i poproszeni o wstąpienie do utworzonej Armii Andersa. Ta armia powstała po podpisaniu porozumienia Sikorski-Majski. Porozumienie to otworzyło również możliwość dla powstania sierocińców, kuchni, szkół, centrów pomocy medycznej. W Kubiszewie była również ambasada, tam uciekli pracownicy polskiej ambasady w Moskwie, kiedy Niemcy zaatakowali Rosję.

Ale sytuacja jest bardzo skomplikowana. Trwa wojna, cały czas toczy się walka o tych ludzi, którzy zostali wywiezieni do Rosji. Kiedy rodzina Ziuty jest już w miarę bezpieczna, a na pewno bezpieczniejsza i zdrowsza niż wcześniej, pojawia się –

Jak to się stało, że książkę podjął się tego ogromnego zadania?

– Tak się złożyło, że książkę znał polską historię. Podczas I wojny światowej, kiedy był małym chłopcem, opiekujący się nim wujek, również Maharadża, był członkiem Ligi Narodów. Tak poznał Paderewskiego – prezydenta, ale i pianistę. Podobno młody Maharadża był głuchy na muzykę i z lekcji gry na fortepianie nic nie wyszło, ale pozostała w nim świadomość istnienia kraju takiego jak nasz i pozostał związek między księciem Indii, jego wujem i Paderewskim. I właśnie w czasie II wojny światowej dorosły już Maharadża wyraża chęć zaopiekowania się polskimi dziećmi w Indiach.

Ogromna operacja jak na jednego człowieka!

– Tak. Ale jak powiedział, tak się stało. Stworzył takie miejsce dla polskich dzieci po rosyjskiej traumie. Nazwał już Polski Obóz w Balachadi-Jamnagar.

Ale Pani rodzina podjęła najcięższą z możliwych decyzję – rodzice postanowili, że rodzina się rozdzieli i do Indii pojedzie trójka dzieci.

– Moja mama i większość jej rodzeństwa w chwili decyzji przebywali w szpitalu. Wszyscy cierpieli na trudne do opanowania choroby. Ciężko chorowała również moja babka, miała rozległe krwotoki, była bliska śmierci. Ale była świadoma tego, że musi oddać dwójkę, może trójkę dzieci dla ich dobra, że jest to decyzja, która jest kwestią życia i śmierci. Do Indii przez obóz przejściowy wyjeżdżały dzieci te, które były najzdrowsze, więc moja mama, jej siostra Jadzia i brat Józef. Została najstarsza córka, Janka, która już wtedy opiekowała się umierającą matką i najmłodszą córką, która mogłaby nie przetrwać podróży i rozłąki, Helą. No i najstarszy ze wszystkich brat, który miał dołączyć do armii. Ojciec był chory, więc nie mógł się zaciągnąć do armii, został w szpitalu. W wielu rodzinach było podobnie – przy rodzicach zostawało najstarsze i najmłodsze dziecko.

Którędy trafiały dzieci do Indii?

– Dzieci opuszczaly sowiecką Rosję na zawsze w pociągach do Aszgbatu w Turkmenistanie, tam był polski sierociniec, stworzony przez Hankę Ordonównę, która czasem osobiście zajmowała się dziećmi.

W czasie podróży mama poznała także panią Dobrostańską z Bydgoszczy, również słynną artystkę zajmującą się kabaretem, tańcem, występami. Moja mama do niej przyłączyła i Dobrostańska stała się dla niej drugą mamą. Podróż była długa, dzieci przechodziły kolejne kwarantanny w kolejnych sierocińcach i miejscach postoju. Mama wspominała te zmiany jak podróż z piekła do raju. W wielu miejscach dzieci były przyjmowane niewyobrażalnie życzliwie. Mama wspominała, że perskie dzieci rzucały w polskie dzieci figami, daktylami, piśtacjami, a polskie dzieci nie wstydziały, co się dzieje, bo nie miały prawa spodziewać się niczego dobrego po tym, co przeżyły w Rosji.

A co czekało na nie na miejscu? Jaki był dla nich maharadża?

Ciąg dalszy na str. 13



Ziuta Nowicka w stroju z przedstawienia w obozie dzieci w Jamnagar, Gudźarat, 1945 r.

Czy oznaczało to, że mogą tak po prostu wyjechać?

– Nie, nie. Nie mieli jak, nie mieli dokąd. Ale mimo wszystko ojciec postanowił wtedy, że będą musieli uciekać z tego miejsca, bo sytuacja może się ponownie odwrócić i nikt ich stamtąd nie wypuści. Zaplanowali ucieczkę. Droga była bardzo trudna – szli około półtora tygodnia pieszo przez tajgę, dotarli do pociągu w Wołogdzie. Bardzo się wszyscy pochorowali, na malarię, dyzenterię, moja mama miała straszną torbiel na oku. W Wołogdzie zrobili wymianę – matka mojej mamy oddała swoją złotą obrączkę za możliwość podróży pociągiem dla całej rodziny. Wszyscy wsiadają do pociągu: rodzice i szóstka dzieci. W ciągu półtora tygodnia dojeżdżają do Kubiszewa, wszyscy są wycieńczeni, chorzy, oczywiście niedożywieni, chudzi jak szkielety, ledwo żyją. Ale trafiają pod opiekę Polskiego Czerwonego Krzyża.

W jakimś sensie jest to punkt zwrotny historii, którą Pani w swojej książce opowiada.

– Tak, ten moment jest bardzo ważny, Polski Czerwony Krzyż założył w krótkim czasie około osiemset agencji rozproszonych po całym Związku Radzieckim. Agencje funkcjonowały jako ośrodki przyjmujące polskich zesłańców. PCK zapewniał tym ludziom zaopatrzenie, odzież, pomagał przywrócić zdrowie w tym strasznym koszmarze.

w jakimś sensie – szansa dla dzieci. Jaka to była szansa?

Tak. Anders i Sikorski chcą wydostać z Rosji jak największą liczbę Polaków, dopóki otwarte są granice. Część uchodźców zgadza się przyjąć młody szach Iranu Mohammad Reza Pahlavi – to jest pierwsza szansa przeżycia. Z małymi dziećmi, które potrzebowały bezpiecznej przystani, jest wielki problem. Czerwony Krzyż chciał umieścić dzieciaki w bogatych krajach. To była kwestia czasu, bo dzieci były w kiepskim stanie i w Rosji właściwie były skazane na śmierć, jeśli się ich stamtąd nie wywiezie. Ale bogate kraje nie odpowiadają: ani Stany Zjednoczone, ani Nowa Zelandia, nikt. Odpowiadają tylko Indie i Meksyk.

Kto zaprosił dzieci do Indii?

– Maharadża, indyjski książę, Jam Saheb Digvijay Sinhji, zaprosił aż 500 dzieci. Choć Indie były pod rządami brytyjskimi, to ten właśnie książę był jednym z członków brytyjskiego gabinetu wojennego, miał więc dużą władzę. Był księciem Nawanagar, dzisiaj jest to prowincja Gudźarat, w północno-zachodniej części Indii na Półwyspie Katiawarskim. Brytyjczycy, w konszachtach ze Stalinem, byli bardzo niezadowoleni. To niezadowolenie i trudności z transportem dzieci sprawiły, że maharadża decyduje się zapłacić za całą operację sam. Nad stworzeniem dobrego miejsca dla dzieci pracuje z polskim rządem na uchodźstwie.